

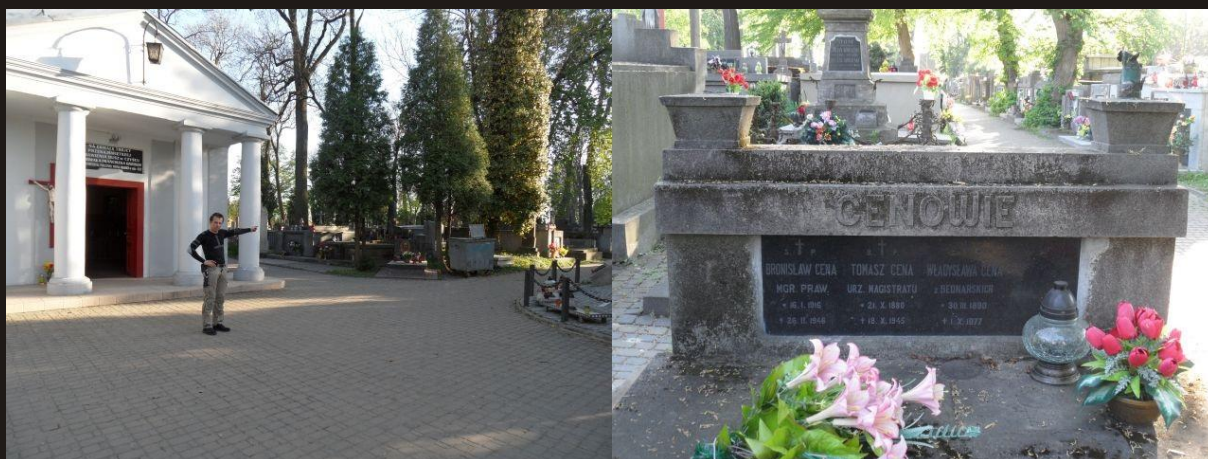
MotoMajówka 2012

A maj był gorący tego roku...

Nikt z nas nie spodziewał się, że przełom kwietnia i maja przywita nas żarem godnym czerwca lub lipca. Pierwszy odcinek drogi to przełot autostradą do Krakowa, więc wysoka temperatura za bardzo nie doskwiera.

Celem kilkudniowej wycieczki wkomponowanej w tzw. „długi weekend majowy” jest penetracja polskiego Podkarpacia ze szczególnym naciskiem na odkrywanie rodzinnych korzeni oraz wspomnień z dzieciństwa. Wąskość grona uczestników (Pati i ja) sprzyja tak przyjętej formule.

Pierwszy nocleg u mojego wujka pod Krakowem umożliwia wkroczenie w obszar zainteresowania od samego rana dnia następnego. Na pierwszy strzał idzie Jarosław. Tu, na cmentarzu komunalnym po ok. 1 minucie poszukiwań (mimo, że ostatni raz byłem tu ok. 25 lat temu) odnajdujemy grobowiec rodziny Cenów (od strony mojej mamy). W skutecznym poszukiwaniu pomogła sprzyjająco narzucająca się lokalizacja mogiły.



Upał doskwiera i cały środek dnia spędzamy w piwnicy najlepszej restauracji w mieście. Poziom cen w małych miasteczkach umożliwia nam podejmowanie „szaleństw”, o które dużo trudniej w większym mieście.



Drugi cel w Jarosławiu to stary rodzinny dom rodziny Cenów. Od wujka mamy adres. W rynku robimy zdjęcie wielkiej mapie ulic miasta i już wiemy gdzie jechać. Po dotarciu na miejsce i dokonaniu lokalnego wywiadu środowiskowego, okazuje się, że drewniana nieruchomość została rozebrana... 2 lata temu! Potwierdziło się, że wycieczek dotyczących odkrywania przeszłości nie należy odkładać na... przyszłość.



Dzień ma się ku końcowi, a my dalej na wschód! O zmierzchu docieramy do Przemyśla. Zgodnie z mapą, pod miastem przy Sanie ma być uroczy kemping. Po dotarciu na miejsce i dokonaniu kolejnego lokalnego wywiadu środowiskowego, okazuje się, że kemping zakończył funkcjonowanie 2 sezony temu... Podkarpacie wyraźnie stawia na rozwój pensjonatów zapominając o potrzebach podróżników czy turystów takich, jak my. Potrafimy docenić dach nad głową, ale nie w gorącą majową noc!

Ciemność dominuje nad nami, a my ciągle w siodle. Nastawiamy się na „plan B”, czyli zjazd i oddalenie się od głównej drogi i, w zależności od sytuacji, nocleg „pod gospodarzem” lub „na dziko”. Niespodziewanie dostrzegam jednak tabliczkę, na której poza symbolem łódki, skrzyżowanych sztućców i łóżka widnieje ukochany trójkącik nawiązujący do klasycznego kształtu namiotu. Zjeżdżamy.

W wioseczce o nazwie Tarnawce oddalanej o parę kilometrów od głównej drogi znajdujemy może mniej pensjonat, a bardziej robotniczą noclegownię, której właściciel prowadzi nas na malutką łączkę przeznaczoną dla niezależnych noclegowo gości. Co ciekawe, działka jest własnością gminy i rozbicie namiotu jest wolne od opłat. Wiejski sklepik spożywczy otwarty jest do późnych godzin, a na rano mamy zamówione jajecznicowe śniadanie u gospodarza pierwotnie napotkanego. Po rozbiciu namiotu i wizycie w sklepie spędzamy niezwykle romantyczny wieczór przy namiocie, na ławeczce, na krawędzi doliny Sanu z widokiem na rozświetlony w oddali Przemyśl.



Ranіutko zaglądamy do Krasicyzna. Renesansowo-manierystyczny zamek poddany został niedawno znaczącemu zakresowi prac remontowych, czego efekty cieszą oko, a spacer z przewodnikiem zupełnie nie przygnębia (co zdarza się często podczas zwiedzania splądrowanych krajowych dworów, pałaców i innych obiektów pozbawionych kompetentnych właścicieli czy zarządców).



Środek dnia to zwiedzanie Przemyśla. Szczęśliwie upał nieco zelżał. Jest 3 maja, więc na rynku uroczystości, parady, apele. Ale mało ludzi, wszystko przyjazne i nie nachalne. Zaglądamy do otwartej informacji turystycznej. Dostajemy tam bezpłatną mapkę ze szlakami pieszymi po tym niezwykle malowniczo położonym mieście. Zgłaszamy jednocześnie uwagę o braku w rejonie Przemyśla kempingu. Podczas spaceru naszą uwagę zwraca znakomicie odrestaurowany dworzec kolejowy, wybrane obiekty sakralne oraz stare kamienice, a także obiekty umocnień przemyskiej Twierdzy. Do tych ostatnich docieramy już motocyklem, bo są zlokalizowane wysoko na wzgórzach nad miastem. Świetna panorama Przemyśla gratis.



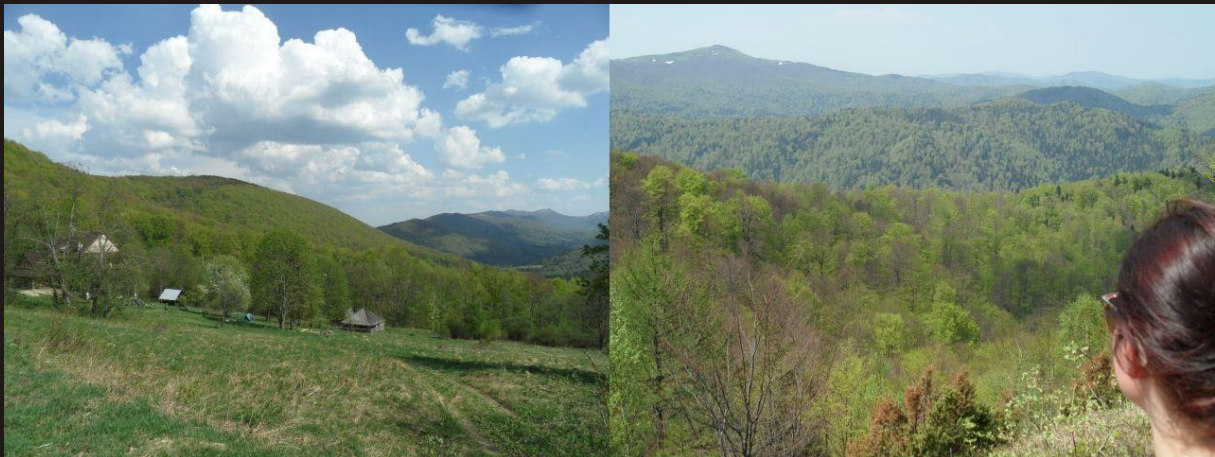
W godzinach popołudniowych zaglądamy do wsi Rybotycze, w której spędzałem u znajomej moich dziadków wiele dziecięcych sezonów letnich. Znajdujemy pusty dom, objeżdżamy ścieżki, którymi w latach osiemdziesiątych biegało się nad rzekę, do lasu, na łąkę.



Stąd blisko do Kalwarii Pałacowskiej. Niczym rasowi motocyklowi pielgrzymi zahaczamy o zlokalizowane przy drodze kalwaryjskie kapliczki i w samą porę (bo trafia nas ulewa) dojeżdżamy na szczyt góry trafiając pod dach domu pielgrzyma znajdującego się przy zespole klasztornym franciszkanów. W klasycznym polskim stylu podana kawa parzona po turecku umiła czas oczekiwania na przejaśnienie w aurze.



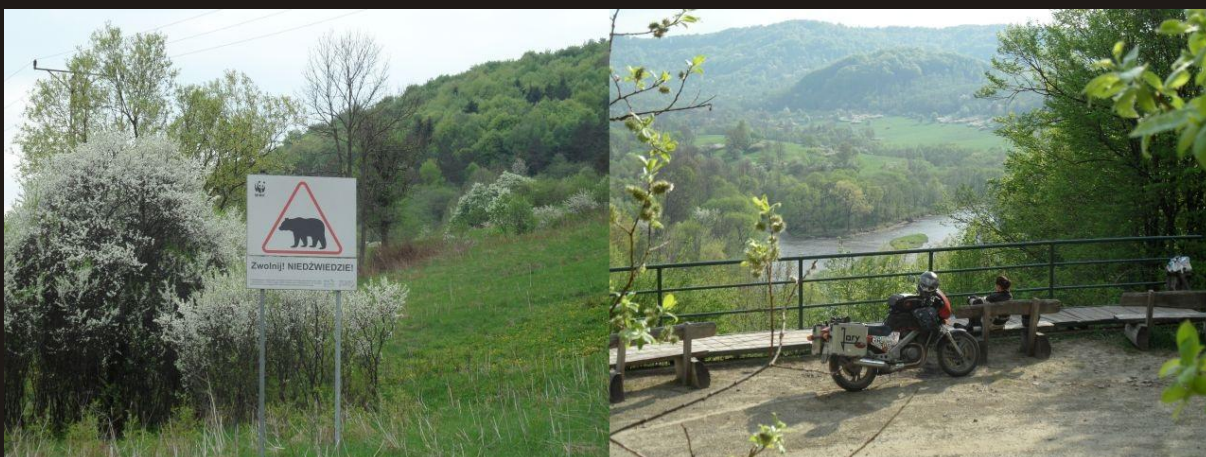
Na wieczór docieramy do Bieszczad, do miejscowości o nazwie Dwerniczek. Trafiamy do poleconego nam przez wujka gospodarstwa agroturystycznego. Spędzamy tam 2 noce, pomiędzy którymi realizujemy bieszczadzkie motocyklowe wypady krajoznawcze, które zawierają również w sobie ekskursje piesze. Na nogach zdobywamy szczyt Dwernik Kamień, a na dwóch kółkach dokonujemy ambitnego podjazdu pod schronisko Koliba (777 m n.p.m., tuż pod przełęczą Przysłup Caryński).



Po drodze penetrujemy pozostałości po wsi Caryńskie, której mieszkańcy zostali brutalnie wysiedleni do ZSRR w 1946 roku. Pozostały jedynie elementy niepalne: mury cerkwi, studnie, fundamenty domów, groby.



Czas rozpocząć powrót. Kolejny dzień spędzamy na lawirowaniu różnymi drogami i drózkami wzdłuż granicy polsko-słowackiej w kierunku zachodnim. Taka metoda dostarcza nam odpowiedniego wglądu w urokliwe zakątki Beskidu Niskiego.

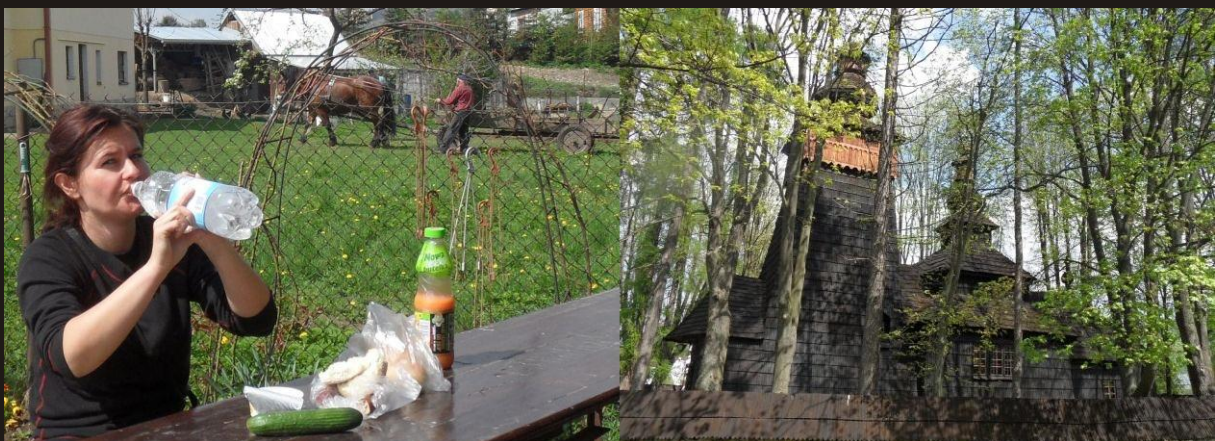


Dzień kończymy w Krynicy-Zdroju. Znów centrum informacji turystycznej i znów konfrontacja z zaskakującą informacją: w Krynicy nie ma kempingu! Po moich sugestiach naprowadzających, miła pani z informacji dokonuje obdzwonienia wybranych gospodarstw kwaterowych, czego skutkiem jest wskazanie adresu, pod którym znajdziemy przyjazny namiotowi trawnik oraz dostęp do sanitariatów.

Wymarzonemu wieczornemu spacerowi na Górę Parkową towarzyszy brutalne spędzenie snu z naszych powiek (a bardziej z uszu!): na scenie zlokalizowanej na szczycie śpiewa i tańczy (a bardziej tańczy i otwiera usta pod dyktando nagrania) zespół Boys, czyli dyskotekowi bożyszcze dla niewybrednych gustów z kręgu „disco-polo”. Majowy prezent burmistrza Krynicy dla mieszkańców i kuracjuszy zawsze trafiony!



Podczas schodzenie do miasta przeżywamy zaskakujące i pozytywne przeobrażenie środowiska akustycznego. Z dala dobiega muzyka grana rzeczywiście na żywo i o docenianym przez nas brzmieniu surowego a zarazem sympatycznego bluesa. W ogródku piwnym, na terenie którego utalentowane śląskie trio podpięło swój sprzęt, pozostajemy do późnych godzin wieczornych.



Ostatni dzień naszego majowego weekendu to powrót do macierzy. Rano zwiedzamy najstarszą cerkiew polskich Karpatów w Powroźniku (rejon Muszyny), a ostatnią podkarpacką atrakcją jest dla nas Stary Sącz. Uroczy ryneček utwardzony kocimi łbami, na nich ławeczka, na ławeczce my, w rękach kawka i baton energetyczny, którego moc ma nam służyć podczas autostradowego „przelotu” do domu.



Wycieczka po raz kolejny utwierdziła nas w przekonaniu, jak fajnie jest wsiąść na motor i pokręcić się przez kilka dni po danym regionie. Przy minimalnych kosztach i maksymalnym stopniu obcowania z otoczeniem (wynik recepty „namiot+motor+boczne drogi”), Podkarpacie dostarczyło nam także szczypty nostalgii oraz ochoty na kolejne odsłony tej bardzo atrakcyjnej wielopłaszczyznowo krainy.

ms